Nr. 197. Czwartek 28 sierpnia 1913. Rocznik XXII.

2 K miesięcznie z odsyłką.

Zagranicą miesięcznie 2 M. 30 f., 3 fr. 50 ctm., 2½ szyl., 70 cm. amer.

Tygodniowo w Krakowie 40 h, z dostawą do domu 46 h.

Cena numeru oddzielnego 8 h.

Reklamacye otwarte są wolne od opłaty pocztowej. — Redakcya rękopisów nie zwraca i bezimiennych listów nie uwzględnia.

NAPRZÓD

Organ centralny polskiej partyi socyalno-demokratycznej.

Wychodzi codziennie popołudniu z wyjątkiem niedziel i świąt.

Redakcya i Administracya: Kraków, Dunajewskiego 5.
Telefon Redakcyi Nr. 396.
Telefon Administracyi Nr. 2314.
Konto czekowe Nr. 34.095.
Adres telegr.: Naprzód Kraków.

Dział inseratowy:
Pl. WW. Świętych 11.
Telefon Nr. 1354.
Konto czekowe Nr. 910.
Ceny ogłoszeń: Za miejsce wiersza petitem 20 h. Za miejsce wiersza petitem w Nadesłanem 60 h.

Powitanie Wilhelma w Poznaniu.

W poniedziałek przyjechał cesarz Wilhelm do Poznania.

Pisaliśmy, iż na przybycie tego gościa znaleźli się „dekoratorzy“, którzy uchwalili przyozdobić powitalnie Bazar polski.

Za Lipienki, za Kołdrąb, za Złotniki.

W radzie nadzorczej Bazaru, ozdobionego odświętnie na przyjazd Hohenzollerna, zasiada, jakby dla zaakcentowania niewolniczego zwyrodnienia — rodzony brat kobiety, wywłaszczonej przez rząd pruski z rodzinnego majątku. A obok tego pana (Osowickiego) widnieją bardziej arystokratyczne nazwiska: Ponińskiego, hr. Mielżyńskiego, Bnińskiego.

Na ucztę dla cesarskiego gościa trzydzieści kilka zaproszeń otrzymali Polacy: urzędnicy dworscy, reprezentanci ciał autonomicznych i garść arystokratów bez stanowisk oficyalnych. Pierwsi pójdą na tę ucztę, gdyż próżność każe im się szczycić kluczykami szambelańskimi, a „służba dworska“ ich obecności na uczcie wymaga; drudzy mają wymówkę, że uchylanie się ich od hołdu dla cesarza mogłoby utrudnić Polakom utrzymanie się przy swym stanie posiadania w radach prowincyonalnych, w sejmiku prowincyonalnym itd. Trzeci pójdą bo... w polityce nie „można być doktrynerem i tylko serca słuchać“...

Tych trzecich trudno jest rozgrzeszyć nawet szlacheckiemu „Dziennikowi poznańskiemu“. Podnosi on, że mylą się ci panowie, sądząc, iż ich uczestnictwo w obiedzie galowym zdoła jakiś grom od społeczeństwa odwrócić, ale czyż za to, że są w błędzie godzi się ich potępiać i za nawias społeczeństwa wyrzucać... Tak wstawia się o pobłażanie dla jasnych panów ich służka wierny — „Dziennik poznański“.

A na czele oburzonych stoi — narodowo demokratyczny „Kuryer poznański“.

Woła on głosem wzburzonym:

> Przekleństwem ciąży na nas niewola, pochyla nam czoło, zgina kark, a czyni to z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, z roku na rok, czyni tak systematycznie, tak znieczulająco, że sami sobie z jarzma nie zdajemy sprawy. Straszną jest psychologia niewoli. Zagłąbmy się we własną duszę, spójrzmy we własne sumienie, porównajmy dzisiejszy stan naszej duszy, dzisiejsze napięcie uczucia i woli z tem, co ożywiało nas przed kilku miesiącami, gdy padł grom. Zaprawdę podobni byliśmy wówczas do owego zapatrzonego w słońce młodego Rzymianina, co szedł w bój, by zwyciężać, bo szedł z wiarą w zwycięstwo, szedł z wolą zwyciężania; a dzisiaj przypominamy owego niewolnika pochylonego, ze spojrzeniem wrytem w ziemię, lub gladiatora, co wołał: *Morituri te salutant!*“

Na razie spełnia narodowo-demokratyczny organ swoje zadanie dobrze, czy je spełnia również szczerze?

Pamiętamy przecież, jak to „Przegląd wszechpolski“ gromił niemal temi słowy ugodowców z Królestwa; jak potem sztab endecki, przeniósłszy się do Warszawy i, wyeliminowawszy ugodowców od wpływów — zagrał na ich nutę, jeno z pomnożeniem zgrzytów znikczemnienia... Z takiem szalbierstwem, jakiego dawni ugodowcy nie znali, z takiem naigrawaniem się z walk wolnościowych, na jakie się ugoda nie ważyła!

Czytelnicy pamiętają — wszak onegdaj to było — cytowane przez nas „dowcipy“ „Gazety warszawskiej“ na temat powstań polskich, jako „intrygi żydowskiej“ — z przeróbką dat owych krwawych zmagań się z wrogiem — wedle rachuby kalendarza żydowskiego.

A mistrzów warszawskich nie wyrzekają się ich uczniowie poznańscy!

Taksamo nie słyszeliśmy o jakimś sądzie partyjnym i wydaleniu ze stronnictwa wypromowanego przez narodową demokracyę poznańską na posła — Nowickiego, który należał do liczby tych polskich posłów parlamentarnych w Berlinie, co obecnością swoją na sali zsolidaryzowali się z **hołdem jubileuszowym dla Wilhelma.**

Te okoliczności zniewalają nas z pewnym sceptycyzmem czytać oburzone tyrady „Kuryera poznańskiego“, kłaść część owego oburzenia na karb rozmachu konkurencyjnego wobec nieprzełamanych dotąd — jak w Królestwie — wpływów ugodowo-szlacheckich.

Ale opinia czytelników mało oryentuje się w jakichś zakulisowych pobudkach...

Nam, którzyśmy widzieli tyle maskarad endeckich, oburzanie się endeków poznańskich na „psychologię serwilizmu“ — tak gorliwie podsycaną w innym zaborze — w Królestwie przez głównych luminarzy i teoretyków tego stronnictwa wydaje się, powtarzamy, niezupełnie szczere.

Bo takiego bałamuctwa, ażeby ktoś szczerze mógł wierzyć, że nikczemnie postępują Mielżyński, Bniński, czy Poniński, a dobrze Dmowski, Balicki, Kozicki lub Marylski (ten czarnosecinny dowcipniś na temat powstań) wyobrazić sobie przecież niepodobna!

Wracając jednak do wizyty Wilhelma w Poznaniu dodamy, iż nie tak dawno jeszcze korespondent poznański „Czasu“ konstatował, że w sferze szlachecko-ugodowej ochłodła „wiara“ w ugodę i jej metody służalcze.

Wystarczyło zbliżenie się terminu wizyty cesarskiej — i prysła, i opadła zbroja ich abstynencyi powitalnej, jak nadwątlony sopel lodu.

Cała prasa w zaborze pruskim (z wyjątkiem „Dziennika Poznańskiego“) na nich się obruszy...

Obruszy się, jak się już nieraz obruszała, za tą prasą większość opinii burżuazyjnej i — — —

RUDYARD KIPLING.

MYLORD.

15

(Dokończenie).

Zaledwie zbliżyłem się, począł słoń trąbić tak gwałtownie, jakby go sam Lucyper opętał.

— Siedmnaście lat już służę, ale takich cudów jeszcze nie widziałem! — zawołał towarzyszący mi sierżant. — Muszę poprosić o podwyższenie mi żołdu! Wielki Boże, ta bestya zna go naprawdę!

I rozległ się w przełęczy okrzyk dwóch tysięcy żołnierzy:

— Słoń zna go! Słoń go zna!

Poczułem nagle, jak objęła mnie olbrzymia trąba. Omal nie padłem zemdlony ze wzruszenia.

— Malachi, mój drogi Malachi! — zawołałem.

Było to imię, które nadałem słoniowi za dawnych dobrych czasów, kiedy służyliśmy z nim w jednym garnizonie.

— Jakże się miewasz, kochany Malachi? Ja, jak widzisz, nieszczególnie.

W odpowiedzi słoń zatrąbił radośnie, przeciągle, zatrąbiły też i wszystkie inne słonie, jakie się tylko w pobliżu znajdowały. Istny sądny dzień, istnie piekielna muzyka zaczęła się na wąskiej przełęczy Tangi.

Czułem, jak napływają do mego schorowanego ciała siły.

— Malachi, na kolana! — zawołałem pełnym głosem, na jaki się tylko mogłem zdobyć. — No, synu, na kolana! Podnieś mnie, Malachi, trąbą! Ale delikatnie, ostrożnie! Widzisz, mój kochany, jestem bardzo słaby.

W mgnieniu oka padł Malachi na kolana i objął mnie trąbą delikatnie, czule, jak kochanka ramionami, podniósł do góry i posadził na swój grzbiet.

— No, Malachi, a teraz jazda. Widzisz, całą cieśninę zatarasowaliśmy.

Zatrąbił tryumfalnie i pomaszerował z dumą wzdłuż drogi.

Tak więc kroczyliśmy przez cieśninę, a za nami rozlegały się okrzyki i wiwaty z tysięcy ust żołnierskich. Gwałt i hałas był taki, jakiego w całem swem życiu nie słyszałem.

Zakręciło mi się w głowie, pot spływał mi grubemi kroplami po twarzy, a było mi tak dobrze, bardzo dobrze. Malachi w oczach moich wciąż rósł i rósł, aż wyrósł do wysokości wieży dublińskiej. Wszystko dokoła mnie wirowało, jak szalone. Pamiętam tylko tyle, że krzyknąłem:

— Zdejmcie mnie, bo spadnę!

Gdy odzyskałem przytomność, ujrzałem, że leżę na posłaniu szpitalnem, słaby i bezwładny, jak ścierka. Ale byłem wolny od febry, a przełęcz Tangi była również wolna od tłoku i pusta, jak moja kieszeń w obecnej chwili.

Cały oddział uformował już front, a w dziesięć dni potem i ja zameldowałem się do frontu.

Tak więc przełęcz, zatarasowana z mojej przyczyny, została z mojej również przyczyny odtarasowana....

Cóż pan powie o tej całej awanturze?

— Powiem, gdy wróci Learoyd — odrzekłem.

— Jestem tu! Cały czas stoję pod drzewem. Znam dobrze całą tę historyę — zawołał z ciemności głos Learoyda.

— Powiedzcie mi, Jack, czy to prawda?

— Panie, każde słówko — święta prawda?

— Dziwne! — odrzekłem. Ale wierzę.

różni pankowie. Mielżyńscy będą nadal po nowych wyborach rozpierali się w sejmie i parlamencie, jako zaszczyceni zaufaniem posłowie z okręgów polskich.

Tak mało jeszcze widnieje opozycyjnej konsekwencyi w zaborze pruskim!

Wybory w Podgórzu.

Zgromadzenie przedwyborcze. W poniedziałek 25 sierpnia odbyło się w sali „Sokoła" pierwsze publiczne zgromadzenie przedwyborcze, zwołane przez partyjny komitet wyborczy. Salę wypełniło około 800 wyborców ze sfer robotniczych; przybyło także sporo kolejarzy, inteligencyi, kupców i rękodzielników. Zgromadzenie zagaił tow. dr Glasner, do prezydyum wybrano tow. Jaworskiego, Packana i dra Glasnera.

Tow. dr Bobrowski omówił obecny stan naszego kraju, drożyznę, upadek handlu, zastój w przemyśle, brak pracy, emigracyę; przedstawił zgubne dla kraju skutki zagranicznej polityki austryackiej i ofiary, jakie społeczeństwo musiało ponieść wskutek mobilizacyi, nowych ustaw wojskowych i powiększenia rekruta; nakoniec przedstawił stan przedłożenia rządowego o ubezpieczeniu robotników na starość i na wypadek niezdolności do pracy. Inne sprawy odłożył tow. dr Bobrowski do następnego zgromadzenia, a przemówienie swe zamknął oświadczeniem, iż w razie wyboru będzie na nowej placówce w Klubie posłów socyalno-demokratycznych pracował z tem samem co dotąd oddaniem i zapałem, ożywiony wiarą w zwycięstwo postulatów i dążeń klasy robotniczej.

Tow. dr Glasner przedłożył rezolucyę, opiewającą: „Zgromadzeni wyborcy w dniu 25 sierpnia 1913 r. oświadczają, iż jedynym ich kandydatem na posła z okręgu 19 jest dr Emil Bobrowski, którego działalność w życiu społecznem i politycznem daje zupełną rękojmię, że najlepiej będzie bronił interesów całego okręgu; zgromadzeni zobowiązują się dołożyć wszelkich starań, aby w dniu wyborów jak największej wyborców brało udział w głosowaniu na dra Bobrowskiego".

Rezolucyę wśród oklasków jednomyślnie uchwalono, przeciw niej nie podniosła się ani jedna ręka.

Nakoniec zabrał głos, przywitany oklaskami, tow. poseł dr Marek, który w świetnem przemówieniu omówił znaczenie i działalność parlamentu ludowego, owocną pracę Klubu socyalistycznego, stanowisko Klubu wobec drożyzny, pragmatyki dla urzędników państwowych i innych spraw. Z subtelną ironią wykazał, iż obecnie niema już „solidarności" Koła polskiego i stwierdził, iż w sprawach, mających istotne znaczenie dla całego kraju, jak np. w sprawie kanałów wodnych, przejawiła się solidarność wszystkich posłów polskich, zarówno należących do Koła polskiego, jak do polskiego Klubu socyalistycznego. Gorącem poleceniem kandydatury tow. dra Bobrowskiego zakończył tow. dr Marek swoje przemówienie.

Wobec spóźnionej pory zamknął przewodniczący tow. dr Glasner zgromadzenie okrzykiem na cześć partyi i jej kandydata.

Reakcyjna kandydatura. Usilnie szukano w Wiedniu i we Lwowie kandydata „narodowego" dla okręgu 19. Gdy poszukiwania nie dały rezultatu, zamierzały sfery demokratyczne wysunąć kandydaturę dyrektora K. Rollego, asesora miejskiego w Podgórzu, w tem przekonaniu, iż on potrafi, dzięki sympatyi i szacunkowi, jakim się cieszy w Podgórzu, skupić poważną ilość głosów.

Gdy jednak i dyrektor Rolle wzdragał się z przyjęciem kandydatury, uwinęli się podgórscy antysemici: prof. Przybylski, Dobrowolski, Dyrcz, Langer, Zieliński, Małek i przybrawszy do pomocy dwóch żydów: **adwokata** Aronsohna i szynkarza Hekera, zwołali na dzień 26 sierpnia do sali „Sokoła" poufne zgromadzenie za zaproszeniami celem uchwalenia „demokratycznej" kandydatury dra Józefa Emilewicza, znanego czytelnikom „Naprzodu" analfabety politycznego, wsławionego cyrkowymi łamańcami politycznymi. P. dr Emilewicz jest równocześnie „demokratą" i członkiem chrześcijańsko społecznego „Towarzystwa obywatelskiego"; w Radzie miejskiej należy do większości rządzącej, co mu nie przeszkadza należeć do Towarzystwa obywatelskiego, uprawiającego zjadliwą krytykę większości rządzącej w gminie i hamującego prace Rady miejskiej ustawicznymi rekursami; mandat radziecki uzyskał z rąk wyborców II. koła, w którem żydzi mają większość, a na zgromadzeniu wyborców I. koła zwalczał kandydaturę dra Oberländera, jako niebezpieczną dla katolickiego charakteru miasta! Przy wyborach parlamentarnych w roku 1911 był dr Emilewicz prezesem komitetu wyborczego, forsującego wszelkimi środkami kandydaturę ekscelencyi Korytowskiego!

Takiego „demokratę" przedstawili zebranym 75 wyborcom, obradującym pod przewodnictwem p. Dobrowolskiego, pp. Ekwiwalent-Małek i człowiek naturalny, Dyrcz. Obaj ci „demokratyczni" mowcy ubolewali, iż obecnie nie kandyduje „żadna ekscelencya", ale w braku laku — wystarczy Emilewicz dla obrony mieszczaństwa. Buńczuczny Dyrcz odgrażał się, że trafi do Bochni i Wieliczki (no tam będzie miał gorące przyjęcie!), a zarazem oświadczył: „Każdy z nas ma ludzi w rękach, mamy stróżów i lokatorów, nie bądźmy my ich pachołkami, oni od nas zależą i muszą być naszymi pachołkami". P. Dyrcz, który mógłby coś opowiedzieć o kupowaniu głosów (w r. 1911), w swej cielęcej naiwności wygadał się zawczasu, w jaki sposób ma się zdobywać mandat dla dra Emilewicza! Ale stróże i lokatorzy dadzą Dyrczowi i jego kompanom tak po palcach, iż im się na zawsze odechce wyborów!

Dr Emilewicz oświadczył, iż nie ma czasu na kandydowanie, dziękował za pochlebne uznanie Dyrcza i Małka, poczem użył sobie (na poufnem zgromadzeniu) na międzynarodowych socyalistach.

Adwokat Aronsohn labiedził z powodu nadmiernej skromności Emilewicza i groził mu karnością demokratyczną, która wybrańca (40 głosujących!) zmusi do przyjęcia kandydatury. — Zebrani 40 głosami uchwalili „demokratyczną kandydaturę" dra Emilewicza.

Wysunięcie dra Emilewicza, jako kandydata na posła, skompromitowałoby do reszty demokratyczne mieszczaństwo Podgórza; na szczęście kandytat Małka i Dyrcza może się ubiegać o wiceprezesurę kasyna lub Towarzystwa obywatelskiego, może oddawać lokajskie usługi kandydującemu eksministrowi, lecz nie poważy się sięgać po mandat parlamentarny w okręgu 19 tym.

Wyborcy zawczasu niech gotują się do obrony przed agitacyą, zapowiedzianą przez Dyrcza!

Dla odmiany — prześladowanie Włochów.

Austrya ma nową aferę narodowościową! Dla odmiany zaczęto szykanować — Włochów.

Na skutek reskryptu namiestnika tryesteńskiego ks. Hohenlohego usunięto ze służby gminnej w Tryeście cały szereg urzędników, będących obywatelami włoskimi, co wśród ogółu włoskiego wywołało wielkie rozgoryczenie. Reskrypt bowiem dotyczy osób, które od kilku, a nawet kilkunastu lat nienagannie służyły gminie. Ludzie ci od szeregu lat zabiegali o obywatelstwo austryackie, ale daremnie.

Oczywiście, we Włoszech dzienniki występują ostro przeciw reskryptowi namiestnika tryesteńskiego ks. Hohenlohego. Deputowany Cirmeni oświadcza w „Stampie", że obowiązkiem gabinetu włoskiego jest wnieść do austryackiego ministerstwa spraw zagranicznych zażalenie z powodu krzywdy, wyrządzonej obywatelom włoskim w Austryi. Jeżeli zamierzano już postąpić z tymi ludźmi po drakońsku, należało przynajmniej postawić ich przed alternatywą: albo rezygnacya ze służby, albo przyjęcie obywatelstwa austryackiego. Rząd austryacki zobowiązany jest w razie ewentualnego zażalenia rządu włoskiego dać tym ludziom odszkodowanie. To odszkodowanie nie natrafi na trudności, ale szkoda polityczna, wyrządzona tym reskryptem, jest znacznie większa.

Również i „N. Fr. Presse" atakuje namiestnika tryesteńskiego ks. Hohenlohego z powodu jego reskryptu i utrzymuje, że reskrypt ten wydany został wskutek zabiegów słoweńskich i chrześcijańsko-socyalnych.

Afera ta najniepotrzebniej w świecie nagle psuje dobre stosunki, jakie się ostatnimi czasy wywiązały między Austryą i Włochami, a Włochów austryackich równie niepotrzebnie zraża do Austryi.

Kogóż zdołają przekonać wykręty półurzędowego „Fremdenblattu", który usiłuje usprawiedliwić nieroztropny krok Hohenlohego! „Fremdenblatt" pisze: „Kilka wydanych rozporządzeń namiestnika Tryestu w sprawie żądanego ustąpienia zagranicznych obywateli ze służby publicznej gminy Tryestu dało powód do dyskusyi publicznej. W tej sprawie należy przedewszystkiem zaznaczyć, że kwestya zwolnienia obywateli obcego państwa ze służby publicznej miasta od dłuższego czasu zajmowała władze państwowe, ponieważ zatrudnienie ich jest poszkodowaniem kandydatów krajowych. Kilkakrotne upomnienia namiestnictwa nie zdołały skłonić administracyi miejskiej do poczynienia odpowiednich kroków. Nie trzeba specyalnie podkreślać, że zarządzenia ostatnie, przedstawiające się jako wewnętrzny akt administracyjny, wyniknęły z nieodzownej konieczności przestrzegania interesów publicznych i nie mogą być łączone samowolnie z innymi punktami widzenia w tej kwestyi wewnętrznej. Rozporządzenie, o którem mowa, przywraca ostatecznie stan prawny wobec przynależnych do obcego państwa w służbie publicznej".

A więc rząd ujął się rzekomo za „poszkodowanymi kandydatami krajowymi" — tymczasem cała „krajowa" ludność włoska jest na tę nieproszoną opiekę oburzona.

Włoski ambasador ks. Avarna poczynił przedstawienie u ministra spraw zagranicznych Berchtolda w sprawie reskryptu ks. Hohenlohego.

W ministerstwie spraw wewnętrznych odbyła się długa konferencya przy udziale ministów Berchtolda, Stürgkha i namiestnika tryesteńskiego ks. Hohenlohego poświęcona tej sprawie.

Na czwartek 28 b. m. zwołane jest posiedzenie tryesteńskiej Rady miejskiej; na porządku dziennym: sprawa rozporządzeń namiestnika Tryestu co do wydalań obcokrajowców ze służby miejskiej.

Z Komisyi Tymczasowej.

Z polskiego ruchu wojskowego w Stanach Zjednoczonych. Przystąpienie do Komisyi Tymczasowej Sokolstwa polsko amerykańskiego wywołało zwrot znamienny w życiu wewnętrznem tej organizacyi. Nowy wydział zabrał się z całą energią do zorganizowania w łonie Sokolstwa prawdziwego wojska, któreby mogło wziąć poważny udział w walce o niepodległość. Pracy w tym kierunku sprzyjał fakt, że jej kierownik W. Rylski jest fachowym wojskowym, posiadającym nietylko gruntowne wykształcenie teoretyczne, ale i poważną praktykę służbową i bojową.

Już w parę miesięcy po objęciu przezeń kierownictwa po wszystkich okręgach związku Sokołów rozpoczęły się poważne kursy instrukcyjne, mające na celu wytworzyć cały zastęp instruktorów, zdolnych do dalszego prowadzenia nauki wojskowości po gniazdach. Naczelnik objechał cały związek, wszędzie przeprowadził osobiście kursy instruktorskie i stworzył kadry wojskowe.

Nauka poszła dalej po gniazdach pod kierownictwem tak zwanych „kursaków". W ten sposób w łonie Sokolstwa powstał oddział przeszło 5000 ludzi, zorganizowanych w drużyny i nieźle wyćwiczonych.

Świeżo odbyły się manewry II. okręgu Sokolstwa, kierowanego przez byłego wyższego oficera

armii austryackiej Bartmańskiego, który, jako kierownik manewrów (w stanie Indiana), stworzył dla nich warunki techniczne wojny prawdziwej pod względem terenu i odległości. Manewry trwały trzy dni. Dzień pierwszy wypełniły: marsz dziewięciomilowy od kolei do obozu, rozbicie namiotów, odmaszerowanie trzech drużyn jeszcze dalej o cztery mile i marsz powrotny, osłonięty, połączony z bitwą. W ciągu tego dnia zrobili żołnierze około 20 mil (angielskich) pieszo, zaś boczne patrole nawet więcej, na znacznym upale i w dodatku bili się przez parę godzin, uciążliwie przekradali się przez lasy, szturmowali biegiem wysokie pagórki, wciąż pracując karabinem. Wieczorem jednak wszyscy znajdowali się w tak dobrym stanie fizycznym i moralnym, że — w razie potrzeby — nie zabrakłoby energii do nowej bitwy.

Nazajutrz rano od godz. 9 do 12 trwała bitwa w lasach na terenie górzystym, po południu szkoła, ćwiczenia wolne itd. — jednem słowem, ruch aż do godz. 9 wieczór. W nocy o godz. 12 pobudka, marsz blisko 5-milowy tam i z powrotem w formacyi bojowej i bitwa niezmiernie uciążliwa, poprzedzona gruntownem przeszukaniem lasu, połączona z brnięciem przez moczary, wspinaniem się na góry i ciągłem podtrzymywaniem ognia. Dopiero o godz. 5 rano nastąpił 3 godzinny spoczynek. Trzeciego dnia znów rano bitwa, trwająca trzy godziny, znów szkoła, ćwiczenia w obozie, zwinięcie obozu i odmarsz na kolej.

Fachowcy mówili, że manewry te były bardziej forsowne, niż przy zwykłem wojsku regularnem, zaś osiągnięte rezultaty stały na bardzo wysokim poziomie. Znakomicie zorganizowany szpital polowy funkcyonował dzień i noc, ale miał do czynienia tylko z błahymi wypadkami odparzenia, zdrapania skóry itp.

Pomoc z Ameryki polskiemu ruchowi niepodległościowemu. Amerykański Komitet Obrony Narodowej zebrał na Polski Skarb Wojskowy do końca lipca b. r. 20.360 dolarów 15 centów, z czego wysłano do Europy 17.975 dolarów 90 centów; pozostaje u kasyera w banku 2366 dolarów 25 centów.

Koncentracya przemysłu maszynowego i żelaznego w Galicyi.

Towarzystwo akcyjne L. Zieleniewski w Krakowie zakupiło we Lwowie fabrykę ks. Lubomirskiego, a w październiku ma również objąć fabrykę wagonów i maszyn w Sanoku. Kapitał akcyjny tych trzech przedsiębiorstw wynosił 6 milionów koron. Będzie to największe przedsiębiorstwo w kraju i ma wszelkie warunki rozwoju.

Przy tej sposobności nie od rzeczy będzie cofnąć się wstecz — przypatrzeć się bliżej ewolucyi, jaką przechodził przemysł w Galicyi, który teraz dopiero przybiera kształty europejskie.

Upośledzenie Galicyi nie było nigdy w interesie centralnego rządu, posłusznego kapitalistom z niemieckich i czeskich prowincyj Austryi i obszarnikom galicyjskim. A szlachta galicyjska żyła w obawie, że gdy powstaną fabryki, to robotnik nie będzie chciał za bezcen w polu robić od świtu do nocy.

W takich warunkach, choć znalazł się czasem śmiałek i chciał założyć jakieś przedsiębiorstwo fabryczne, licząc na tanią siłę roboczą — musiał się odrzec wszystkiego, gdyż skarb państwa nakładał nań takie opłaty, że zanim postawił mury, już stracił skromny kapitał, jaki posiadał, a pomocy ze strony kraju nie mógł się spodziewać.

Kiedy w latach między 1870 a 1882 ówczesna ustawa pozwalała każdemu człowiekowi zakładać fabryki i warsztaty bez przymusu dowodu uzdolnienia fachowego, w Czechach i niemieckich krajach Austryi wyrastały wielkie przedsiębiorstwa jak grzyby po deszczu; Galicya zaś broniła się przed wielkim przemysłem rękami i nogami.

Ducha przedsiębiorczości u Polaków nie było; nawet zamożni naonczas rzemieślnicy nie myśleli bodaj o wprowadzeniu do swych warsztatów jakichkolwiek nowoczesnych urządzeń technicznych i maszyn. Każdy, kto się na to odważył, musiał staczać walki z ówczesnymi cechowymi majstrami, którzy zatykali uszy i oczy na wszystko, co się około nich działo na świecie. Tymczasem obce wyroby fabryczne coraz więcej zalewały kraj i w gwałtowny sposób proletaryzowały stan rzemieślniczy.

W zachodnich krajach na miejscu dawnych małych warsztatów stanęły olbrzymie fabryki z milionowymi kapitałami, gdy u nas, jeżeli się już udało wybudować fabryczkę, ta walcząc z tysiącznemi trudnościami, nie mogła skutecznie iść w zawody z tańszymi wyrobami potężnych fabryk obcych.

Oprócz tego przemysł fabryczny już w samym zarodku natrafił jeszcze na jedną przeszkodę, która mu może najwięcej szkody przyniosła. Ktokolwiek założył w kraju jakie przedsiębiorstwo, choćby tam pracowali najlepiej ukwalifikowani robotnicy, jednak już z góry był skazany na opinię, że wyroby są złe. Taka opinia prawie zawsze towarzyszyła nowo założonemu przedsiębiorstwu fabrycznemu i to z góry decydowało o upadku. Co nie pochodziło z Wiednia lub Berlina, wogóle z poza granic Galicyi, to wszystko było „nic nie warte“.

Wszelkie dostawy dla administracyi kraju, jakoteż dla osób prywatnych, były oddawane firmom obcym. Polscy robotnicy z Galicyi wyjeżdżali do obcych krajów, bo w kraju nie było fabryk, a mali majstrowie nie mieli co robić.

Trzeba było wielkich wysiłków, aby tę niezasłużoną opinię zwalczyć i społeczeństwo polskie bliżej zainteresować produkcyą krajową. Zorganizowana klasa pracująca zawsze popierała tych, którzy dążyli do uprzemysłowienia kraju, i przy każdej sposobności publicznie współdziałała.

Jednak aż do ostatnich czasów nie można się było dopatrzeć wielkich rezultatów tych wysiłków. Zaledwie kilka fabryk w przemyśle metalurgicznym, chemicznym i ceramicznym potrafiło się jako tako rozwinąć, natomiast bardzo wiele prowadzi żywot suchotniczy, na czem najgorzej wychodzą robotnicy, bo wskutek tych stosunków zarobki są niepewne, płace przeciętnie niskie i zbyt często jest robotnik narażony na przesiedlanie się do innej miejscowości.

Charakterystycznem jest, że właśnie te przedmioty, które mają największy zbyt w kraju, są w największej ilości importowane. Weźmy np. maszyny rolnicze. W kraju jest kilka fabryk, króre produkują te maszyny, ale ani jedna nie zdołała rozwinąć się tak, aby mogła produkować na wielką skalę. Każda z tych fabryk musi obok maszyn rolniczych starać się o inne roboty. Natomiast całemi masami sprowadzane są maszyny rolnicze z poza kraju, z Austryi zachodniej i z Prus, choć one nie są lepsze od naszych wyrobów krajowych.

Poważnej polityki przemysłowej w kraju nie prowadzi się wcale. Oprócz działalności Izb handlowych i komisyi przemysłowej przy Wydziale krajowym są w kraju także prywatne inicyatywy; wszystko to jednak nadzwyczaj słabe. Pominąwszy Izby handlowe, którym nie można odmówić starań około tych spraw, to komisya przemysłowa, któraby mogła bardzo wiele zrobić, robi wszystko połowicznie.

Wygląda to tak, jakby nie chciała zrażać sobie obecnych gospodarzy sejmu, tj. szlachty obszarniczej, której interesy na tym punkcie rozchodzą się z interesami kraju; z drugiej strony komisya stara się, by przecież było bodaj pozorne wrażenie na zewnątrz, że sejm szlachecki i dla przemysłu coś działa i na ten cel fundusze asygnuje. Jedną z przydzielonych tej komisyi agend jest udzielanie pożyczek i subwencyj. Petentów jest wielka ilość, a wśród nich conajmniej 80 procent takich, którzy

JULIUSZ KADEN.

BABA.

3

(Ciąg dalszy).

Miasto jak jeden mur.

Domy okna wygałuszyły. A tu wieże w śniegu, jak w mące, a tam sklepy, całe ze szkła.

Ulicami czarna ciżba leje się wciąż wprzód i wtył i nie ustaje.

Już baba nie ma żadnego szacunku, na gościniec nie zejdzie, pcha się przez naród tretuarem.

Ulice za nią gonią, kłamią i mylą poprzerastane, pokręcone. To się znów wszystkie we wielki plac rozedmą, a na placu trudniej, niż w lesie.

Ale baba nie w ciemię bita. Gdy utknie przed domem wyszczerzonym, że ani tędy ni siędy, przegładzi w rękach, pogłaska ten świstek z adresem redakcyi i łaski pańskiej, piśmiennej pyta: gdzie?

Już się wdarła.

Ściany aż spuchnięte od tego papieru drukowanego. Jak żytnie ciasto wytłacza się szary ze stojaków, ze sprzętów, ze wszystkich stron. Po stole ogromnym, zjeżonym, niby po rżysku w pasmach się przewłóczy, z ocapu soplami się zwiesza i z kosza przy biurze wybucha, jak postrzępiony piernat.

Jeden stary, zmierzwiony, kostropaty socyalista, niby głodny, ale jakiś chędogi, owszem — cały się zwiesił nad stołem, jak kret ryje w papierach, najada się tego druku i parska piórem po papierze, aż mu żyły na skronie wylazły.

Drugi śledzi, niby tłustszy, znaczniejszy.

Brzydzi się trochę baba tego bezbożnego gniazda.

Postała w przedpokoju, płacz w sobie do onej prośby zasmaża i rozrabia, sposobi się w ciągotach proszalnych i zawczasu nosem, jak na klarnecie pociąga.

Ludziska z wzdychaniem ciężkiem przywarli do ław, jeden przed drugim troskę z siebie troczy. Wszyscy sobie jacyś — powiadają — towarzysze.

Słowo chodzi, to na tych, to na tamtych ustach usiada, zaszumi, w każdą mowę, w każdą sprawę wścibione, wścibia się wszędzie, aż w tę twoją bolączkę, na dnie głębokiem, najgłębszą — żeś sam. Żeś sam w tej poniewierce aż do ostatnich, krwawych łez.

Bezbożni, czy zbożni, ale ludzcy.

Słowo się wścibia aż do serca wielką prawdą.

Aż baba nadziejami płonąca nie czeka kolei, nie zważa i nie baczy. Ostrymi łokciami przepchała się. Jeno po niej westchnęły te szklane drzwi z poczekalni do pokoju, ramieniem zahaczone i oto już jest przed obliczem. Od drzwi samych skłania się i chyli. Nad rolą wciąż schylona, przez pracę do przyziemnego chodu na klęczkach wciągnięta, gnie łacno grzbiet szanowny a nieobraźliwy.

Poseł zatrzepotał rękami.

Pewno niecierpliwy i zły, ten socyalista.

Więc haniebnym obyczajem wiedziona, chyli się do nóg, do kolan możnych przenika o łaskę wysłuchania.

Poseł się cisnął, jak zwierz ugodzony i powiada, żeby nie — i powiada — mówcie matko.

Mowę jej wszelką, stropionej, odjęło jeno zaraz, w przytomności tych wzdętych papierów rozlała swój gorzki płacz. Powieki zapuchnięte, niczem brzytwy tnące, krwawe nad zbielałemi od słońca źrenicami zmyka i leje łzy. Ledwie że jeden płacz wyczerpie, gdy drugi się otwiera, jeszcze rzewniejszy. To znów przypomina se baba tę moc świniarza i prawo pisane w papierze i własne pole nieobronne, a od tego — śnieg przed oczami czarny wali, jak sadze, kawałami.

Znówby do kolan przypadła, ale się przecie prostuje i chlipie. A tylko obrąb spódnicy, ciężki, łzami i błotem nasiąkły, do oczu tka, głodna, chuda i brudna, bolesna tanecznica, tych żebrów niewysłuchanych o wysłuchanie.

Ale ją poseł dobrem słowem przytulił.

Więc mu rozpowiedziała od samego początku, aż się spocił ze zgryzoty.

— Kiedy się ze swoim poznali i pobrali i ile mieli dzieci, wszystko dokumentnie — dla sprawy. Najprzód słowem ściśniętem, a później tem, co się rozwidla, co nie może lecieć, by nie wdepło do tych ciemnych rowów niedzielnego pijaństwa, żeby się nie roztrzaskało na szczapy o wykrot cudzej przemocy, żeby różyczką łez nie zabłysło nad kołyską, w której śmierć zadarmo zimne sprawia chrzciny.

Papiery macie — spytał.

Rozkołysana w tym splocie skargi dała mu je z za pazuchy, gdzie leżały jak śliski liszaj.

(Dokończenie nastąpi).

po to tylko do komisyi przemysłowej się zwracają, aby pożyczkę w gotówce wyłudzić pod pozorem rozszerzenia warsztatu itp., a mając za sobą „zasługi“ przy wyborach lub protekcyę ludzi wpływowych, nietrudno kilka tysięcy koron otrzymać na to, aby je użyć np. na spekulacye gruntowe...

Są większe przedsiębiorstwa w kraju, które, gdyby otrzymały tani i dogodny kredyt, mogłyby odrazu stanąć na nogi. Lecz udzielenie kredytu kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu tysięcy w odległych ratach — nie ma żadnego znaczenia tam, gdzie potrzeba kosztownych najnowszych urządzeń technicznych, aby ze skutkiem sprostać konkurencyi obcej. Inaczej takie łatanie często przyspiesza ruinę przedsiębiorstwa, a conajmniej jej nie przeszkodzi.

Uprawiając taką politykę przemysłową, można utopić kilkadziesiąt milionów, nie przynosząc nikomu pożytku. Przez to też ta część działalności komisyi przemysłowej chybia celu. *A. T.*

(Dokończenie nastąpi).

Napad bandytów na pociąg pospieszny pod Lwowem.

W nocy z poniedziałku na wtorek o godz. 1 niedaleko stacyi Sichów pod Lwowem **6 bandytów wykonało napad na pospieszny pociąg Nr. 2,** zmierzający z Czerniowiec do Wiednia. Przebieg zuchwałego napadu był następujący:

W wozie, t. zw. berlińskim, idącym z Bukaresztu do Berlina, ukrywał się jeden z bandytów, inni oczekiwali w zasadzce w polu. Skoro pociąg przybył do miejsca zasadzki między Dawidowem a Sichowem, bandyta znajdujący się w pociągu **zatrzymał pociąg hamulcem automatycznym.** W tej chwili dwóch z bandy rabusiów przyskoczyło do maszyny z krzykiem, że maszynista przejechał jakąś kobietę. Korzystając z zakłopotania maszynisty i palacza, wskoczyli na platformę maszyny i w jednej chwili **związali ich powrozem.**

Reszta bandy wykonała tymczasem **atak na wóz pocztowy.** Pocztowcy, widząc niebezpieczeństwo, zamknęli drzwi wagonu, sami zaś położyli się na podłodze, przewidując strzały. Rzeczywiście **bandyci dali kilkanaście strzałów do wozu,** uszkodzili okna i ściany wagonu. Personalowi jednak pocztowemu nic się nie stało.

Publiczność przerażona przebiegała wagony. Pytano o rewolwery, nikt jednak z podróżnych nie miał przy sobie broni palnej, choć jechało pociągiem kilkunastu wojskowych i jeden żandarm. Dopiero jadący pociągiem konduktor ze Stanisławowa Jurkiewicz wpadł na pomysł zawiadomić o napadzie stacyę. Wybiegł więc z pociągu do sąsiedniej budki, skąd zatelefonował do najbliższej stacyi, żądając pomocy.

To dopiero uspokoiło publiczność, a jeden z podróżnych znalazł przy sobie rewolwer. Z rewolwerem tym, w towarzystwie służby pociągu udał się w stronę maszyny.

Na widok zbliżających się bandyci zawrócili i uciekli do niedalekiego lasu. Ucieczce sprzyjała noc.

W wozie pocztowym, w którym znajdowały się znaczniejsze przesyłki pieniężne (około **400.000 K**), wybito jedną szybę, a na ścianach widoczne są dwa ślady od kul. Według zeznań personalu kolejowego i pocztowego **dano około 20—25 strzałów,** nikt jednak ani z podróżnych, ani z personalu nie odniósł rany.

Natychmiast uwiadomiono władze we Lwowie, które wysłały komisarzy, agentów i policyę automobilami na miejsce wypadku. Przybyła również żandarmerya z okolicznych posterunków. Przedsięwzięto energiczny pościg przy pomocy niedaleko rozkwaterowanej kawaleryi.

Pociąg, na który wykonano napad, przybył do Krakowa zamiast o 6·30 rano w dwie godziny później, t. j. o godzinie 8·30.

Zeznania palacza.

Pociąg prowadził maszynista Julian Tokarski ze Stanisławowa w towarzystwie palacza Stanisława Jarosławskiego, również ze Stanisławowa.

Po przybyciu pociągu na główny dworzec we Lwowie, przytrzymano maszynistę Tokarskiego i palacza Jarosławskiego, których zaraz przesłuchano.

Palacz Jarosławski zeznał, że w chwilę po odjeździe z Dawidowa pociąg nagle stanął. W tej chwili po obu stronach lokomotywy zjawili się dwaj mężczyźni, z których jeden z wielką czarną brodą zawołał:

— Zatrzymajcie pociąg, bo stało się nieszczęście!

Jarosławski wyskoczył wówczas z lokomotywy, a mężczyzna ów strzelił i zawołał:

— Nie ruszaj się, bo ci w łeb strzelę!

Drugi mężczyzna podszedł tymczasem do Jarosławskiego i związał mu w tył ręce. Maszynista zaś Tokarski uciekł z lokomotywy i schronił się do wagonu pakunkowego. Po chwili jeden z napastników zawołał do Jarosławskiego:

— Jedź dalej!

Tymczasem padło znowu kilka strzałów. Jarosławski, nie wiedząc co to znaczy, odpowiedział:

— Jakże mam jechać, kiedy mam związane ręce.

Napastnicy rozwiązali mu wówczas ręce i kazali iść do wagonu I. i II. klasy, znajdującego się tuż za wagonem pocztowym, i naprawić zerwany automat. Jarosławski wszedł do wagonu, nikomu jednak nie opowiedział nic o napadzie, ani o strzałach, a naprawiwszy automat, opuścił wagon i udał się na lokomotywę, gdzie odprowadził go bandyta, czekający na niego pod wagonem. Jarosławski chciał puścić pociąg w ruch, jednak nie udało mu się to. Wrócił zatem do wagonu, gdzie był zepsuty automat, i już go nie opuścił, bo bał się wychodzić.

Na zapytanie, dlaczego za pierwszym pobytem w wagonie, nic nie powiedział podróżnym o napadzie, odpowiedział Jarosławski, że był ogromnie przestraszony. Znamiennym jest fakt, że Jarosławski nie miał na rękach żadnych śladów od sznurów, którymi go miano związać. Zbadał go natychmiast żandarm Hugo Konwalijka, jadący tym samym pociągiem, któremu nie podobało się spokojne zachowanie się Jarosławskiego, podczas gdy maszynista był rzeczywiście bardzo przelękniony. Ten sam żandarm przesłuchał następnie podróżnych z wagonu I. klasy, którzy zeznali, że w wagonie tym jechali dwaj elegancko ubrani mężczyźni, którzy ciągle wyglądali przez okno z lewej strony wagonu i zaglądali do poszczególnych przedziałów. Na chwilę przed zatrzymaniem pociągu jeden z nich pociągnął za automat. Przypuszczają, że byli to dwaj bandyci, którzy na znak dany światłem z toru, donoszący, że miejsce to jest korzystne do wykonania napadu, zatrzymali pociąg.

Zeznania Jarosławskiego wywarły wrażenie, jakoby on był **w zmowie z bandytami.** Dlatego **aresztowano Jarosławskiego** i odstawiono do więzienia.

Zeznania maszynisty.

Maszynista Tokarski opowiadał: Wkrótce po opuszczeniu Dawidowa, pociąg nagle stanął. Próbowałem jechać dalej, lecz w tej samej chwili jakiś mężczyzna z czarną brodą zawołał:

— Bój się pan Boga, kobieta wypadła z pociągu!

Ledwo maszynista wysiadł z lokomotywy, spostrzegł kilku ludzi i usłyszał strzały. Uciekł zatem do wagonu pakunkowego, gdzie razem z prowadzącym pociąg siedział cicho do czasu, gdy zjawił się żandarm w towarzystwie jednego oficera, który miał rewolwer. Żandarm wezwał go wówczas, aby puścił pociąg w ruch, bo niema już żadnego niebezpieczeństwa. Zdaniem maszynisty, padło 20 do 30 strzałów.

Zeznania konduktora

pocztowego Chmielnika, który krytycznej nocy jechał w wozie pocztowym, wskazują, że napad skierowany był wyłącznie na wóz pocztowy. W chwili zatrzymania pociągu Chmielnik usłyszał strzały, ale nie przypuszczał, aby to był napad. Sądził, że są to nocne manewry. Nagle ktoś zapukał do drzwi wagonu. Chmielnik, przypuszczając ciągle, że ma do czynienia z jakimiś wojskowymi, którzy chcą nadać listy ekspresowe, otworzył drzwi, nie zdając sobie sprawy z tego, czy pociąg zatrzymał się na stacyi, czy w polu.

Otworzył zatem drzwi i zapytał:

— Co tam?

Odpowiedziano mu na to:

— Pocztowcy niech się poddadzą, nic wam nie będzie. Inaczej będziemy strzelali i wysadzimy wagon w powietrze!

Chmielnik nie stracił przytomności, mimo że w ręku mówiącego dostrzegł rewolwer, lecz zatrzasnął drzwi wagonu i schował się pod fach pocztowy.

W tej chwili padł strzał, a kula rozbiła okno wagonu. Chmielnik wysunął się z pod fachu, obawiając się, aby go bandyta przez rozbite okno nie zastrzelił, i pobiegł do sąsiedniego przedziału, w którym znajdowało się trzech funkcyonaryuszów pocztowych. Ci natychmiast zamknęli otwarte okno, spuścili roletę i z przestrachem oczekiwali końca, aż wreszcie bandyci uciekli.

Jak opowiadają pasażerowie, na

czyn prawdziwie bohaterski

zdobył się konduktor kolejowy Jurkiewicz, który nie zważając na grożące mu niebezpieczeństwo, pobiegł do najbliższej budki kolejowej, skąd telefonicznie zawiadomił stacyę o napadzie. W jakiś czas potem wrócił i zawiadomił podróżnych, że niebawem nadejdzie pomoc. Teraz dopiero wstąpiła w przerażonych otucha. Publiczność uspokoiła się momentalnie, a dzielnemu konduktorowi urządzono owacyę. Teraz dopiero jeden z podróżnych przyznał się, że

ma rewolwer.

Z miejsca zorganizowano małą wyprawę. Do owego posiadacza rewolweru przyłączyło się na ochotnika kilkanaście osób z publiczności i wraz z personalem kolejowym pospieszyli na odsiecz oblężonemu wozowi pocztowemu. Skutek był nadspodziewanie szybki. Bandyci, widząc podchodzącą ku nim gromadkę, a sądząc widocznie, że to jest już sprowadzona i dobrze uzbrojona pomoc — w popłochu rozbiegli się na wszystkie strony.

Miejsce napadu

było istotnie przez bandytów doskonale wybrane. Jest ono w odległości — jak mniemano — kilku kilometrów od Sichowa, otoczone parowami, znakomicie nadającymi się do urządzenia zasadzki i gąszczami, w których po nieudanym napadzie, bandyci mogli się doskonale ukryć.

Na dobitek noc była tak ciemna, że ledwo można było rozpoznać kontury ludzi i przedmiotów. Wogóle miejsce i pora zdawały się jak wymarzone dla uplanowanego i dobrze zorganizowanego napadu bandyckiego.

Przypadkowe ocalenie.

Za maszyną i wozem pocztowym jechał wóz sygnałowy, przeznaczony dla służby konduktorskiej. W wozie tym jechał konduktor sygnałowy Kowalski młodszy. Pociąg prowadził konduktor Krupa, konduktorem pierwszym był Kowalski starszy. Otóż słysząc krzyki i strzały wyskoczył na tor Kowalski starszy. W tej samej chwili rzuciło się ku niemu dwóch ludzi. Kowalski młodszy, który tymczasem zoryentował się w sytuacyi, począł gwałtownie krzyczeć.

— Żandarmerya! Żandarmerya!

Napastnicy, którzy szli na starszego Kowalskiego przystanęli nagle, a gdy krzyki wciąż powtarzały się, rzucili się do ucieczki. W ślad za tymi poszła reszta bandytów, kierując się w stronę pobliskiego lasu.

I nagle wszystko ucichło. Widząc to Kowalski starszy począł biedz wzdłuż wagonów wołając, że bandyci zbiegli. Kilka głów wychyliło się z okien wagonów, poczem wyszło na tor kilku oficerów jadących pociągiem. Z dobytemi szablami rzucili się w stronę maszyny i wozu pocztowego. Lecz sprawców już nie było.

Wilhelm II w Poznaniu.

Poznań, 26 sierpnia.

Od północy leje nieustanny deszcz; ze wszystkich stron przybywają specyalne pociągi. Do samego szpaleru użyto 35 000 ludzi.

Z „książąt krwi“ obecni są w Poznaniu książęta: Eitel, Fryderyk, August Wilhelm, Joachim i Oskar. Na uwagę zasługuje fakt, że ubiegłej nocy wybito w Bazarze Polskim cenną szybę.

Wobec uroczystości cesarskich w Poznaniu przeważna większość Polaków trzyma się obojętnie na uboczu. Polska frakcya Rady gminnej w liczbie 10 — jak już pisaliśmy — odmówiła udziału w poświęceniu odrestaurowanego ratusza i zaproszeniu burmistrza do udziału w obiedzie, wydanym przez Radę gminną.

W ostatniej chwili Polski Bazar w Poznaniu został udekorowany, ale tylko kwiatami, bez emblematów i sztandarów. Znajdujące się w tym Bazarze sklepy polskie w liczbie 15 nie zostały udekorowane. Przeważna część Polaków nie udekorowała ani swych domów, ani sklepów, z wyjątkiem właścicieli małych sklepików, żyjących z klienteli niemieckiej.

Ogół Polaków oburzony jest na zarząd Bazaru Polskiego. Polacy demonstrują także w inny sposób. Mianowicie cały szereg księgarń i handlów papierowych wystawił w oknach wystawowych portrety polskich patryotów i poetów. Niektóre księgarnie wystawiły wielkie portrety Napoleona.

Biskup administrator ks. Likowski zwiedził wczoraj nową ewangelicką kaplicę na zamku.

O święcie pruskiem w Poznaniu pisze „Kuryer Poznański“:

„Wielka potemkinada, którą zaaranżowano na przybycie cesarza, obliczoną jest chyba na omamienie bardzo naiwnych, łatwowiernych umysłów. I chociażby setki głosów krzyczały hymny powitalne, chociażby wszystkie dzwony biły ku pruskiej chwale, chociażby tysiące chorągwi głosiły radość miasta, to poprzez ten zgiełk jarmarczny przedrze się głos polskiej stolicy Piastów i Przemysławów, który cicho, a jednak donośnie, spokojnie, a jednak stanowczo i mocno stwierdzi: To nie nasz obchód, nie nasze święto, to obcy przybysze tryumfują i cieszą się i miastu narzucają swoją uroczystość rozgłośną“.

O dekoracyi Bazaru pisze tenże dziennik:

„Od dzisiaj rana powiewa na gmachu Bazarowym sztandar niemiecki, dowodzący społeczeństwu, że Bazar przestał być instytucyą polską. Gazety niemieckie tryumfem wskazują na Bazar, „z którego okien w roku 1848 strzelano do żołnierzy pruskich“.

W nocy wybito w udekorowanym Bazarze wielką szybę w oknie wystawowym winiarni bazarowej od strony ul. Wilhelmowskiej. Przypuszczalnie stłuczono też obie tablice marmurowe, mieszczące się po obu stronach bramy wchodowej. Przypuszczenie to potwierdza fakt, że obie tablice zostały usunięte. Prócz tego pomazano atramentem ściany i filary przy wejściu do bramy, oraz na narożniku“.

KRONIKA.

Środa 27 sierpnia.

W przystępie szału. Dotychczas znany był fakt, że długotrwałe upały mogą wprawiać ludzi w stan zupełnej niepoczytalności. Pokazuje się jednak, że podobny skutek wywołują nieustające słoty. Dowodem — artykuł wstępny wczorajszego „Ilustr. Kuryera codziennego“ — „Szakale na pobojowisku wschodzącego słońca!“, datowany „Warszawa, 26 sierpnia“. Artykuł ten komunikuje czytelnikom „Kuryera“ następujące rzeczy: „Stan moralny społeczeństwa tak się obniżył, że ludzie wprost nurzają się w błocie. Dotyczy to wszystkich klas w Królestwie, a nawet w Galicyi... Szczególniej sfery inteligentne **zdeprawowały się najzupełniej**: wśród kobiet: wybujałe perwersye seksualne i prostytuowanie się na wielką skalę, wśród mężczyzn: alkoholizm i domy publiczne. Ale nade wszystko występuje **skorumpowanie moralno-polityczne**. Sprzedają swe przekonania, swą niezależność, swoje partye, organizacye — wprost za gotówkę pieniężną. Masa agentów, prowokatorów i szpiegów wśród nas!!...“ „Ci agenci prowokatorzy, do których należą i hrabiowie, i profesorowie uniwersytetu, i komisarze policyi, i adwokaci, i lekarze, i kobiety działaczki społeczne, i pisarze, poeci, i przywódcy grup rewolucyjnych, i dawniejsi bojowcy, i ludzie stojący na czele instytucyj społecznych — bez żenady używają metod telepatycznych, zupełnie pewnych, chociaż przez oficyalną naukę jeszcze nie uznanych. Oni podsłuchują na odległość cudze myśli i czyny i opisują je dla Zawarzina...“ „**Prowokatorów i szpiegów jest taka masa**, że gdy zbierze się sto osób, interesujących się sprawami rewolucyjnemi — to między niemi jest napewno **20—30** conajmniej **zdrajców**“ itd. itd. w tym samym tonie i stylu.

Elukubracye te mógł popisać tylko ktoś w przystępie nagłego szału, wywołanego tegoroczną słotą. A może pisał je „prawdziwy“ waryat, od dłuższego już czasu siedzący nietyle w Warszawie, co w Tworkach i pamiętający jeszcze Zawarzina, który, jak wiadomo, już od paru lat nie jest w Królestwie.

Opóźnianie rozpoczęcia roku szkolnego. Z Rady szkolnej krajowej komunikują: Ze względu na wielkie klęski, któremi ludność wiejska w większej części kraju tak ciężko została dotkniętą, Rada szkolna krajowa upoważniła Rady szkolne okręgowe do stosownego opóźnienia rozpoczęcia roku szkolnego w poszczególnych gminach na prośbę Rad szkolnych miejscowych, co najwięcej do 15 września b. r. Dzieje się to w tym celu, aby umożliwić rodzicom użycie starszych dzieci do pomocy w pilnych robotach polnych, względnie wyręczenie się młodszemi przy paszeniu bydła i drobniejszych posługach domowych.

Nowiny krakowskie.

Z teatru miejskiego. W „Wyzwoleniu“, od lat pięciu już u nas nie granym dramacie Stan. Wyspiańskiego, ujrzymy jutro po raz pierwszy na naszej scenie trzy młode artystki: Romanę Szpak, Irenę Zawadzką i Alinę Gryficz. Rolę Konrada grać będzie, jak dawniej, p. Andrzej Mielewski, Reżysera p. Stanisławski, Prezesa p. Bończa, Samotnika p. Jednowski, Aktora p. Siemaszko.

W piątkowem przedstawieniu „Złotych więzów“, II części trylogii L. Rydla, wystąpi w roli Zygmunta Starego p. Mielewski, a w roli Barbary Radziwiłłówny p. Irena Solska, która rolę tę grała z wielkiem powodzeniem podczas gościny teatru krakowskiego we Lwowie. Postać Zygmunta Augusta kreować będzie, jak dawniej, p. Karol Adwentowicz.

Otwarcie ofert. Wczoraj w południe nastąpiło w magistracie krakowskim otwarcie ofert na miejskie budynki sanitarne. Oferty złożyli budowniczowie: Hand Riegelhaupt-Epstein na sumę 201.881 K 62 h, Kazimierz Brzeziński i Zygmunt Rothirsch na sumę 206.142 K 20 h, Julian Herschthal na sumę 191 934 K 70 h, J. Oberleder 194 331 K 61 h, Towarzystwo budowlane 196 430 K 67 h, Kazimierz Hroboni 207.148 K 71 h, Józef Bereta 214.162 K 40 h. Oprócz tego wpłynęło kilka ofert rzemieślniczych na poszczególne kategorye robót.

Budynki powyższe staną na gruntach kontumacyi i mają być wykonane w trzech okresach czasu: pierwsze trzy oddane będą do użytku w roku 1914, reszta do 1916 r.

Ze sportu. Polski związek piłki nożnej urządza w najbliższą niedzielę zawody, w których wystąpią reprezentatywne drużyny Moraw i Śląska przeciw Galicyi. Zawody takie, urządzone po raz pierwszy w Krakowie, odbywać się będą dwa razy na rok: raz u nas, a następny w jednem z miast Moraw lub Śląska. Zawody te wzbudzą niewątpliwie zainteresowanie.

Repertuar teatru miejskiego.
Środa: „Kordyan“.
Czwartek: „Wyzwolenie“.

Nowiny lwowskie.

W stanie zdrowia prof. Antoniego Małeckiego nastąpiło wczoraj znaczne pogorszenie. Temperatura podniosła się do 38·2. Po południu odbyło się konsylium, w którem brali udział prof. dr Rydygier, prof. dr Wiczkowski i prowadzący ordynacyę dr Józef Aleksiewicz. Lekarze stwierdzili zapalenie płuc na tle uremicznem. Również stan pani Małeckiej uległ znacznemu pogorszeniu. Stan chorej również bardzo groźny.

Z rodzinnych tragedyj. Jan Sempik, zamieszkały przy ulicy Na Błonie 14, posprzeczawszy się ze swą żoną Julią, dotkliwie ją pobił. Żona z zemsty porwała za nóż i chciała męża nim ugodzić, gdy ten spał. Na szczęście Sempik w sam czas się obudził, a kobietę, nie umiejącą się wytłómaczyć, dlaczego stała z nożem nad śpiącym mężem, aresztowano.

Repertuar teatru miejskiego.
Czwartek: „Luba niewinność“.
Piątek: „Manewry jesienne“.

Repertuar teatru Nowego.
Czwartek: „Miód kasztelański“.
Piątek: „Szatan w rodzinie“.

Z kraju.

Spensyonowanie starosty wielickiego. W Wieliczce sensacyę wywołało spensyonowanie starosty Szczerbińskiego. W jego miejsce objąć ma od 1 września starostwo wielickie p. Ruebenbauer, dotychczasowy starosta limanowski, brat posła powiatu bocheńskiego.

Śmierć starosty Jarosza. Zmarł w Krynicy emerytowany starosta nowosądecki Władysław Jarosz, który przed 12 laty wsławił się zakazem odczytu o teoryi Kopernika.

TELEGRAMY

z dnia 27 sierpnia.

Zawieszenie cła naftowego w Rosyi.

Petersburg. (Pet. Ag.). Na podstawie artykułu 87 ustawy zasadniczej opublikowana została ustawa, pozwalająca na import nafty bez cła aż po 28 grudnia 1913 r.

Rewolucya w Chinach.

Szangaj. Koło Nankinu w ostatnich 10 dniach stoczono zacięte walki.

Szangaj. Wczoraj rano **poddał się Nankin wojskom rządowym.** Walki w ostatnich dniach były bardzo krwawe.

Sprawy bałkańskie.

Ambasador rosyjski u cesarza Franciszka Józefa.

Porozumienie między Austryą a Rosyą.

Wiedeń. (Tel. wł.). Wczoraj był na audyencyi u cesarza Franciszka Józefa w Ischlu ambasador rosyjski Giers. Za pozór służyło wręczenie cesarzowi zaproszenia cara na poświęcenie kaplicy rosyjskiej w Lipsku z okazyi odsłonięcia tam pomnika zwycięstwa odniesionego nad Napoleonem w r. 1813. W rzeczywistości pismo odręczne cara dotyczy kwestyi bałkańskiej. Cesarz oświadczył, że do Lipska pojedzie następca tronu i dał Giersowi wielki krzyż orderu św. Szczepana.

* * *

Belgrad. Między Czarnogórą a Serbią osiągnięto **porozumienie w sprawie granic.** Czarnogóra otrzymuje miasta Diakowica, Plevlje i Ipek.

Belgrad. W piątek pod kontrolą wojskową na stacyi granicznej Sukowo odbędzie się **wymiana jeńców** między Serbią a Bułgaryą.

Sofia. Agencya Bułgarska zaprzecza wiadomościom podawanym przez prasę zagraniczną, jakoby wracający żołnierze bułgarscy wszczynali krwawe bójki i demonstrowali przeciw polityce zagranicznej b. ministra Danewa.

Sofia. Generał Radko Dimitriew ma zostać posłem bułgarskim w Petersburgu w miejsce Bobczewa.

Konstantynopol. Porta zaprzecza wiadomości, jakoby wojska tureckie obsadziły Gimildżinę i Mustafli.

Smyrna. Słynny turecki krążownik „Hamidje“ zawinął do portu w Smyrnie. Ludność zgotowała komendantowi entuzyastyczne powitanie.

MAŁY FELIETON.

TRISTAN BERNARD.

HUMORESKI.

I.

Narzeczona statystyka.

Szanowna pani Durames wchodzi zrana w dniu ślubu swej ukochanej jedynaczki do jej sypialni. Czcigodna niewiasta jest mocno wzruszona: dzień to przecie tak znamienny.

Panna Berna spoczywa w łóżku; ciężki jasno-blond warkocz rozplótł się podczas snu, i na poduszce, jak złote nitki leżą jej 70.000 włosów.

— Ach, mój Boże! Śpisz spokojnie w tym tak znamiennym dniu, w którym... — zawołała pani Durames.

Córka, zbudziwszy się, przerwała matce:

— Ach, mamo, wiem naprzód, co chcesz powiedzieć. Sądzisz, że to zaprawdę dzień tak znamienny? Posłuchaj: na kuli ziemskiej żyje ośmset milionów kobiet. Od liczby tej odjąć należy dwieście sześćdziesiąt milionów, tj. ilość kobiet, które umierają w wieku młodym, nie zaznawszy uczucia miłości.

W liczbie pozostałych znajduje się pewna ilość kobiet, które pozostają na całe życie dziewicami. Ta jednak rubryka pokrywa się w zupełności ilością kobiet, które, nie doszedłszy wieku kanonicznego, zaznajamiają się z miłością. Biorąc pod uwagę, że pozostała liczba 550 milionów odnawia się co pięćdziesiąt lat, otrzymamy następujący wynik: każdego roku jedenaście milionów kobiet zaznajamia się z miłością, co wynosi dziennie trzydzieści tysięcy.

A więc w dobie obecnej trzydzieści tysięcy niewiast białych, żółtych, czarnych i czerwonoskórych znajduje się w tem samem położeniu, co i ja.

Czyli jestem obecnie jedną trzydziestą częścią tej olbrzymiej ilości niewiast...

Mamo droga, czyż możesz żądać, aby przy tych warunkach, przy zdawaniu sobie sprawy, jak codziennem i powszechnem jest owo zjawisko, czyż możesz żądać, abym oddychała z szybkością trzydziestu i pięciu, lub czterdziestu wdechów na minutę zamiast normalnych dwudziestu?...

Panna Berna urwała, obróciła się do matki plecyma, wyciągnęła z pod poduszki ostatni list narzeczonego i poczęła go odczytywać:

„...Nie będę rozwodził się, jak bardzo Cię kocham, najdroższa. Konstatuję fakt, że jesteś jedną z najpiękniejszych kobiet na świecie. Śmiały ten i oderwany sąd opieram na następującem przypuszczeniu: jestem tego zdania, że jury, złożone z surowych, aczkolwiek bezstronnych sędziów, zaliczyłoby Cię jednogłośnie do liczby tych czterystu kobiet, tak zwanego typu czysto europejskiego, uznanego za najpiękniejszy na świecie. Jury musiałoby wziąć pod uwagę piękną proporcyę linij Twego ciała, blask oczu i świeżość cery..."

II.

List pani aptekarzowej.

Droga mamusiu!

Nie pisałam ci w ostatnich czasach, gdyż przeżywaliśmy bardzo ciężkie chwile, a nie chciałam smutnemi wiadomościami sprawić ci zmartwienia. Na początku tego miesiąca pozostaliśmy prawie bez środków do życia, i nie wiele brakowało, a wyczytałabyś w pismach o naszym nieszczęsnym losie.

Henio nie otrzymał obiecanych mu trzystu franków; tak dalece zadłużyliśmy się, że wszyscy sklepikarze odmówili nam dalszego kredytu. Straszny ten stan doprowadził nas do nieodwołalnego postanowienia, aby w czwartek zamiast obiadu spożyć strychniny. Mąż udał się do pracowni, aby odmierzyć dwie dawki.

Podczas gdy Henio porał się w loboratoryum, padłam w moim pokoju na kolana i poczęłam gorąco — gorąco modlić się; i — o cud! — nagle słyszę dzwonek; do apteki wpada jakiś zaaferowany jegomość.

Dobry Pan Bóg wysłuchał mojej modlitwy szczerej i gorącej: w miasteczku naszem zdarzył się wypadek dyfteryi.

Nazajutrz drugi wypadek — u burmistrza. A nasz burmistrz jest strasznie bogaty, kochana mamusiu. Zażądał mnóstwa pędzelków, jodyny i rozmaitych innych głupstw. Słowem — mogliśmy zapłacić rzeźnikowi cały nasz dług.

Szczęście poczęło nam sprzyjać: w tym samym dniu spadł z konia służący pałacowy i złamał nogę. Posłaliśmy do pałacu dziewięć paczek waty odtłuszczonej i subilmatu!... i jeszcze plastru, bardzo drogiego plastru, moja mamusiu!... całych trzy metry! Nazajutrz był ostatni termin uiszczenia opłaty szkolnej ze naszego Gastonka. I niech sobie mamusia wyobrazi, co za szczęście! Zrana pokąsał wściekły pies kilku ludzi, i to zamożnych ludzi.

Wczoraj byliśmy w teatrze i to w pierwszym rzędzie foteli. To Henio zafundował mi teatr, ponieważ w miasteczku wybuchła epidemia choleryny.

Całuję Cię niezliczoną ilość razy. Ucałuj odemnie papę. Twoja

Lucyna.

P. S. Czyżby Opatrzność odwróciła się od nas? W chwili, gdy kończyłam list, dowiedziałam się, że umarł dziewięćdziesięcioletni starzec Halum. Co za nieszczęście! Był to taki zacny człowiek. Od dziesięciu lat chorował na wątrobę. Męczył się strasznie, aby więc uśmierzyć ból kupował u nas dużo morfiny.

Przegląd społeczny.

Organizacya introligatorów w Krakowie w odpowiedzi na wiec majstrów zwołała na niedzielę 24 b. m. publiczne zgromadzenie zaprosiwszy na nie majstrów, którzy znów okazali swą zaściankowość i przyczepiwszy się do okoliczności, że to zgromadzenie zwołała grupa miejscowa organizacyi centralnej, a nie stowarzyszenie cechowe, uchwalili udziału nie brać.

Zgromadzenie zagaił przewodniczący tow. Wożniak, zaznaczywszy cel i porządek dzienny zgromadzenia.

Tow. Żuławski w swem obszernem i interesującem przemówieniu wskazał na dokonywający się przewrót w przemyśle skutkiem rozwoju kapitalizmu, dając przykłady, iż w różnych gałęziach przemysłu następuje połączenie się kilku odrębnych działów; tosamo dzieje się i w fachu introligarskim i majstrowie introligatorscy, stojąc na stanowisku, iż drukarniom nie wolno wykonywać robót introligatorskich, temsamem musieliby stać w sprzeczności z rozwojem przemysłu, gdyż już obecnie są maszyny drukarskie, które jednocześnie wykonują niektóre części robót introligatorskich. W dalszym ciągu tow. Żuławski zajął się sprawą powtarzaną z naciskiem przez majstrów, iż przez wykonywanie robót introligatorskich w drukarniach nastąpi upadek przemysłu, co jest twierdzeniem nielogicznem, gdyż wykonanie robót zależy w pierwszym rzędzie od robotnika, a gdy robotnik jest źle płatny i uczniowie przyjmowani bez żadnego wykształcenia i zdolności, to w tem, a nie w czem innem widzieć należy szkodę dla przemysłu.

Następnie tow. Szymański zaznaczył, iż majstrowie introligatorscy nie pierwszy raz okazali swe lekceważenie robotników, czego dowodem, że robotników nie zaprosili na wiec obchodzący również i robotników, gdyż robotnicy także mają prawo wypowiedzieć się, gdzie chcą pracować czy w drukarniach, czy warsztatach; a na publiczne zgromadzenie, urządzone przez robotników, pp. majstrowie też nie przyszli, pomimo zaproszeń. Mówca przedłożył następującą rezolucyę, którą zgromadzeni jednogłośnie uchwalili:

„Robotnice i robotnicy introligatorscy, zebrani na publicznem zgromadzeniu dnia 24 sierpnia 1913 roku, stwierdzają, iż z uchwałami wiecu introligatorów, odbytego w dniach 15, 16 i 17 sierpnia 1913 roku w Krakowie, w sprawie zatrudniania przez drukarnie kwalifikowanych sił introligatorskich, nie solidaryzują się i wyrażają przekonanie, że w interesie introligatorstwa, którego rozwój w pierwszym rzędzie zależnym jest od doboru sił robotniczych, leży nie zniesienie, lecz przeciwnie, podtrzymanie rozporządzenia ministeryalnego z dnia 13 lutego 1913, dozwalającego drukarniom na wykonywanie robót introligatorskich. Nie zamknięcie się bowiem w murach przestarzałych cechów i uprawianie w ich obrębie bezgranicznego wyzysku robotników i robotnic, nie masowe hodowanie uczniów, lecz tylko stworzenie ludzkich warunków bytu dla zatrudnionego personalu może nasz przemysł podnieść. A te lepsze warunki pracy i płacy wnoszą do naszego zawodu dotychczas jedynie tylko drukarnie.

Zgromadzeni robotnicy wyrażają przekonanie, że głównym motywem walki rozpoczętej przeciw drukarniom jest nie interes samego przemysłu introligatorskiego i jego rozwój, lecz jedynie obawa majstrów przed koniecznością wprowadzenia i do warsztatów swoich (uprawiających dotąd nieograniczony wyzysk robotników i robotnic i systematyczne niedotrzymywanie przepisów i postanowień przyjętych przez umowę cennikową zawartą z robotnikami) tych lepszych nieco warunków, które mają robotnicy i robotnice zatrudnieni w drukarniach. I dlatego oświadczają, że wytężą wszystkie siły, by nie dopuścić do upragnionego przez majstrów introligatorskich reakcyjnego kroku, jakimby było zniesienie lub ograniczenie rozporządzenia ministeryalnego z dnia 13 lutego 1913.

Nadto z oburzeniem piętnują zgromadzeni fakt, że majstrowie introligatorscy nie dotrzymują przyjętych przez siebie umów cennikowych i systematycznie łamią przyrzeczenia stwierdzone swymi podpisami, a zwłaszcza odnośnie do ilości zatrudnianych uczniów. Cisami ludzie, którzy na każdym kroku deklamują o podniesieniu fachu, z niskiej chęci zysku przyjmują do nauki nadmierną liczbę uczniów, których nie są w stanie odpowiednio nauczyć rzemiosła, przez co obniżają poziom całego zawodu".

Po obszernej dyskusyi, w której poruszono także sprawę kursów robót introligatorskich przy miejskim Muzeum techniczno-przemysłowem, tow. Szymański zaznaczył, iż najgroźniejszą dla robotników uchwałą majstrów jest zawiązanie przez nich organizacyi „dla obrony swych interesów"; nauczeni doświadczeniem robotnicy wiedzą, co to znaczy „obrona swoich interesów", gdyż wszelkie takie próby zawsze kończyły się ze szkodą robotników; więc jedyną odpowiedzią na to powinna być jak najsilniejsza organizacya robotników. Wezwaniem do jak najliczniejszego wpisywania się do organizacyi zakończono zgromadzenie.

Jubileusze ormiańskie.

Berlińska „Vossische Ztg" donosi o wielkich przygotowaniach Ormian, w celu święcenia 1500 letniego jubileuszu wynalezienia alfabetu ormiańskiego i 400 letniego jubileuszu zaprowadzenia druku wśród Ormian. W całej Armenii i wogóle we wszystkich krajach, w których mieszkają Ormianie, panuje żywe zainteresowanie się tym jubileuszem. Szkoły wyższe i niższe robią przygotowania, ażeby w sposób godny obchodzić te dwa wielkie wydarzenia.

Wszystkiemi przygotowaniami kieruje osobiście głowa kościoła ormiańskiego, katholikos ormiański

Jerzy V., rezydujący w Eczmiadzynie. Przedstawiciele wszystkich stanów i władz pielgrzymują do wsi Oszagan, leżącej o 7 godzin drogi od Masropa Masztoza, wynalazcy alfabetu ormiańskiego i tłómacza Pisma św. z języka hebrajskiego, względnie z języka greckiego.

Ormianie mieli przyjąć chrześcijaństwo według starej tradycyi wnet po śmierci Chrystusa. Urzędowo jednak liczą się za chrześcijan czwartego stulecia ery naszej.

Współpracownikiem Masztoza był katholikos Sahak Purphow, Jerzego V. wprowadzono na katholikosa dnia 14 lipca z. r. W Eczmiadzynie zebrało się dwóch arcybiskupów i niemal całe duchowieństwo. Jak wiadomo, lud ormiański wybiera katholikosa na podstawie głosowania powszechnego. Tak nakazuje ustawa, która już obowiązuje od 1500 lat.

Jednocześnie odbywa się jeszcze trzeci jubileusz, mianowicie 75-letniego istnienia seminaryum ormiańskiego w Szuszy na Kaukazie. Z seminaryum tego wyszło mnóstwo wybitnych osobistości ormiańskich, nietylko duchownych, lecz i świeckich, jak znakomici pisarze i dziennikarze. Między innymi znany pisarz ormiański Tigran Nazarian w Tyflisie, wydawca czasopism „Tazos", „Agbur" oraz innych, które od dziesiątków lat szerzą oświatę wśród ludu ormiańskiego. Seminaryum w Szuszy rozporządza obecnie znacznym majątkiem, do którego wchodzą grunty uprawne, lasy i kopalnie.

Dziennikarstwo w Armenii w ostatnich latach rozwinęło się okazale. Dziennik „Mszak" obchodził niedawno 40 letni jubileusz istnienia. Dziennik „Agbur" istnieje już lat 30. Jego wydawca Nazarian założył teraz kurs dziennikarski dla młodzieży, pragnącej się poświęcić dziennikarstwu i literaturze.

Przy sposobności warto wspomnieć, że rok rocznie kilkanaście tysięcy młodzieńców ormiańskich pobiera wykształcenie w uniwersytetach zagranicznych. W Anglii, w Niemczech, we Francyi i we Włoszech, a po części także w Wiedniu znajduje się mnóstwo studentów ormiańskich, którzy po ukończeniu studyów fachowych powracają do Armenii tureckiej i rosyjskiej, aby szerzyć tam oświatę i kulturę wśród rodaków.

Rozmaitości.

Odwet Norwega. Z północnego Szlezwigu piszą do „Berliner Tageblattu": Ostatniej zimy wydalono norweskiego porucznika marynarki Coucheron-Amot'a z powiatu sonderburskiego, gdy chciał tam w pewnem towarzystwie wygłosić odczyt na temat, mający znaczenie ogólnikowe. Rozkaz wydalenia wydał landrat Schoenberg, którego zakaz wylądowania turystów z państwowego parowca duńskiego już swego czasu rozluźnił stosunki Niemiec do Danii i spowodował zawikłania dyplomatyczne. P. Coucheron-Amot jest nietylko norweskim porucznikiem marynarki, lecz także wielkim właścicielem ziemskim. Do niego należy wyspa norweska Veö w Romsdalfiordzie, którą oddawna turyści chętnie zwiedzali. Cesarz Wilhelm również niegdyś odwiedził p. Coucheron Amot'a. Wydalenie z północnego Szlezwigu usposobiło Norwega do Niemców tak nieprzyjaźnie, że zakazał wszystkim Niemcom wstępowania na swoją wyspę. Prócz tego zakazał łodziom niemieckich parowców i żaglowych okrętów turystycznych, oraz barkom niemieckich okrętów wojennych przypływać do trzech portów swojej wyspy. Wreszcie p. Coucheron-Amot zerwał wszelkie stosunki z takiemi firmami kupieckiemi, które sprzedają towary niemieckie. Takie są znów skutki pruskiej nacyonalistycznej polityki w północnym Szlezwigu.

Samolot-holownik. Ciekawe widowisko mieli mieszkańcy miejscowości nadmorskiej Goldam. Oto statek napowietrzny wlókł za sobą na linie długości 600 m. statek morski na przestrzeni 20 kilometrów. Była to pierwsza próba holowania okrętu przez statek napowietrzny.

Pomnik na linii Czataldży. Berliński rzeźbiarz prof. Eugeniusz Börmel otrzymał za pośrednictwem Enver beja, którego młodszy brat jego jest uczniem, charakterystyczne zamówienie. Rzeźbiarz ma wykonać pomnik, przedstawiający lwa, który stanąć ma na linii Czataldży — jednak w tym tylko wypadku, jeśli Adryanopol zostanie w rękach Turków. Pomnik, którego projekt jest już gotowy, ma być odlany w materyale z dział zdobytych w ostatnich walkach na Bułgarach.

NADESŁANE.

Ze stowarzyszeń i zgromadzeń.

Ogłoszenia o zgromadzeniach i zebraniach można umieszczać tylko za opłatą **40 halerzy** od jednorazowego ogłoszenia. Zapowiedzi balów, zabaw i przedstawień kosztują **1 koronę** za jednorazowe ogłoszenie.

* **Dębniki.** W środę 27 b. m. w lokalu Czytelni Robotniczej (Rynek 5) odbędzie się odczyt, demonstrowany obrazami świetlnymi, p. Heleny Orszy p. t. „Jak powstały stany społeczne". Początek o godz. 8 wieczorem. Wstęp wolny.



Wydawca: Ignacy Daszyński. — Redaktor odpowiedzialny: Leon Misiołek. Drukarnia Ludowa w Krakowie, ul. Dunajewskiego 5 (Telefon 1810).